

Rok VI.
Kraków, dnia 31 marca 1912 r.
Nr. 13.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Niedziela Palmowa.

Niedziela Palmowa posiada niezwykły urok. Po kościołach smutno i ponuro, bo to post - Wielki post, początek męki Zbawiciela naszego, ale świat cały rozradowany wionie jakimś zapachem szczęścia i wesela. Kościoły napełnia smutek, bo nadchodzi rocznica śmierci Zbawiciela, ale w sercach jest nie otucha, lecz pewność, że Ten Zbawca nasz Ukrzyżowany Zmartwychwstanie i przyniesie odkupienie ludzkości.

Niedziela Palmowa to święto wiosny i nowego życia! Kościół święci dnia tego najwcześniejsze dary odradzającej się przyrody — to, czem najpierwej uśmiecha się zmartwychwstające życie ziemi. Błogosławi »palmy«, uwite ze srebrzysto białych bazi wierzbowych i lśniąco czarnych kitek trzciny rzecznej.

To też Niedziela Palmowa czyli kwietnia, lubo nie posiadająca cechy święta uroczystego, bywa u nas solennie obchodzona. Jest ona dniem, do którego lud polski w wielu okolicach przywiązuje mnóstwo wierzeń i zwyczajów.

Zwyczaje te dotyczą przedewszystkiem owych »palm«, które gdzieniegdzie urastają do rozmiarów okazałych pęków.

W Niedzielę Palmową każdy, stary czy młody, zwięzuje gałązki wierzbiny i trzciny w palmę, stroi wstążkami z papieru i niesie do kościoła dla poświęcenia.

Pasterze, powróciwszy z kościoła, w niektórych okolicach obchodzą naprzód dom trzy razy, uderzając palmą trzy razy o każdy węgieł, aby w domu nie było much i robactwa. Potem idą do stajni, gdzie mieszają palmą w żłobach, aby wypędzić z nich chorobę szkodliwą dla bydła, jakaby się w nich ukrywała. Niektórzy omiatają palmami krowy, aby się ich zaraza nie chwytała i koniom ocierają nozdrza, aby żadnej choroby nie powąchały.

W innych okolicach robią z poświęcanych palm krzyżyki, umieszczają je na kalenicy strzechy, aby one chroniły chatę od piorunów. Takie same krzyżyki wtykają na roli, aby one odwracały od niej chmury gradowe.

W niektórych domach można widzieć przez cały rok palmy stojące na oknie, a to w tym celu, aby one odpędzały od chaty złe duchy.

Bazie wierzbowe, wchodzące w skład palmy, mają także, zdaniem ludu naszego, zbawienne własności. Powiadają niektórzy, że kto w Niedzielę Palmową połknie taką bazię, będzie zabezpieczony przez cały rok od febry, a gdy połknie trzy, gardło w tym roku wcale boleć go nie będzie.

Są okolice, w których bazie, zmieszane z ziemniakami, dają bydłu do zjedzenia celem zabezpieczenia go od różnych chorób. W innych zaś stronach rzucają owe bazie do zboża, które ma być wysiane, aby otrzymać z siewu dobry urodzaj i zboże niezaśniecone.

Pasterze, wypędzając po raz pierwszy bydełko na pastwisko, biorą święconą palmę do ręki, aby odstraszyć dyabła, który pasących zaczepia. Powiadają także, że bydło, jeżeli pasterz wypędzi je pierwszy raz z palmą w ręku spokojniej się pasie.

Wszystko to są wierzenia ludu naszego, które nikomu szkody nie przynoszą a są objawem tej głębokiej wiary ku wszystkiemu, co zostało przez Kościół uświęcone.

Samo święcenie palm jest pamiątką wzniosłą, bo przypomina nam uroczysty wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy, stawiając nam zarazem przed oczy ową wielką niewdzięczność ludzką, jaka spotkała Zbawcę naszego za tyle otrzymanych od Niego dobrodziejstw. Wszak Chrystus przyszedł na świat, dawał ludowi najwznioślejsze nauki, uczył go życiem swojem żyć na ziemi, a ten lud niewdzięczny zażądał śmierci Jego. I do dziś dnia powtarza się to samo: Pan Bóg zsyła na nas łaski wszelakie a wielu z nas występuje przeciw Niemu i znać Go nie chce.

Przed wiekami Bóg Jezus umarł i zmartwychwstał, aby nas odkupić — i my pomrzemy i zmartwychwstaniemy, ale czy tych, którzy wypierają się teraz Chrystusa przyjmie On do swej łaski?

Jacek Obrochta.

Opowiadanie starego górala.



4. Perłowicz i Lilijka.

Chłopak miał już lat czternaście,
Pustką stały już stodoły...
A z obory ino zważcie —
Poznikały konie, woły.
Dnia jednego biedne chłopię
Wygoniło na pastwisko
Tulących się w pustej szopie
Kóz dwanaście — to jest... wszystko.
Pognał zwolna, zapłakany...
Bo matula na odchodnem —
W koszulinie połatanej,
Przyodziewku — dziada godnym —
Wyjąwszy z pieca chlebnego
Placki świeżo upieczone,
Tak rzecze do ojca jego —
Co właśnie podziurawione
Kierpce łatał rzemykami:
— »Jasiu miły! — jako żywo:
Mąki wcale już nie mamy...
Ostatnie to już pieczywo...
Ale pozwól, pozwól ino
Na wieś zanieść tę połowę,
Bo tam... ludzie z głodu giną!...«
A Cap na to skłonił głowę...
Ach, bo serce miał człowiecze,
Czułe na los swych współbraci.
A żona mu na to rzecze:
— »Niech ci za to Pan Bóg zapłaci!...«

Ta nędza ojca i matki,
Serce — na los bliźnich tkliwe,
Co nawet chleba ostatki
Dzieli między nieszczęśliwe,



To miłosierdzie bez granic
Ku nieszczęsnemu ludowi,
Co własną nędzę ma za nic,
Łzy z ócz wycisło synowi.

Gdy kozy popod Witkulę
Spędziwszy, siadł na murawę,
Łzy — gradem, duże — jak kule —
Z ócz mu padały na trawę.
Padając, w ziemię wsiąkały,
A Tatry poza chmurami
W całej pełni zajaśniały
Srebrem i dyamentami.

Patrzał na nie, lecz im już nie groził kułakiem,
Jak wówczas, kiedy jeszcze małym był dzieciakiem.
Czuł swą niemoc, a wiedząc o tej bezsilności —
Z całem poddaniem, w serca najgłębszej skrytości
Szepnął: — »Boże Wszechmocny!.. oświeć mnie nędznego:
W jaki sposób zwojować Króla Wężowego?«

Na zielonej murawie — kędy się stoczyło
Kilka łez jego — coś się zwolna poruszyło:
Ze ziemi listków kilka do góry się dźwiga...
Bo z pośród nich wytryska wysoka łodyga...
I pączek się roztworzył i lilijka biała:
— »Bóg miłosierny!« — rzekła i w tem się rozwiała.
I tylko woń cudowna po niej pozostała
W powietrzu; w sercu chłopca zaś — nieokreślona
Szczęśliwość, spokój dziwny i ta pewność błoga:
Że wysłuchanym został nareszcie od Boga.
I że mu ta lilijka bielusieńka powie:
Jak można zetrzeć głowę temu padalcowi?...

I był wesół, szczęśliwy — przez ten dzionek cały;
Nikomu nie rzekł słowem o lilijce białej.
W nocy — o niej śnił tylko i rozmyślał czule,
Czekając ranka, żeby pobiedz pod Witkulę...
I jak tylko brzask zorzy zalśni różowawy,
Znowu lilijkę białą wywołać z murawy.

I już dnia następnego wcześniej cokolwieczek
Wygonił pod Witkulę resztę swych kozeczek,
A trafiwszy na dawne miejsce prościusieńko,
Podobnie jak i wczoraj westchnie cichusieńko:
— »Panie Boże Wszechmocny! usłysz głosu mego:
W jaki sposób zwojować Króla Wężowego?«...

Lecz nic się nie ruszyło... z ziemi się nie dźwiga
Liść zielony, a z nim wysoka łodyga
Nie wystrzela ku górze. — Perłowicz zdziwiony,
Nie ujrzawszy lilijki — dumał zasmucony,
Prosił, błagał... napróżno; — dnie po dniach mijały
Na daremnem czekaniu; — minął tydzień cały,
Ba... i drugi... napróżno śledzi jej oczyma...
A lilijki tymczasem jak niema tak niema.
Byłby jednak i dłużej wypatrywał chętnie
Lilijki... ale kózki trawę już doszczętnie
Pod Wikulą wypasły. By czasu nie trwonić,
Musiał je dnia jednego pod Bystrzyk wygonić.
Owóż tam się z innymi spotkał pastuszkami:
Każdy skulony, nędzny — prawił mu ze łzami
O nędzy w swojej chacie słowami boleści...
Perłowicz nasłuchawszy się tych opowieści,
Siadł na urwisku skalnem, w drzew cieniu na boku...
I tu sobie serdecznie westchnął — ze łzą w oku...
I prawie mimo wiedzy, mimo woli może —
Zawołał z głębi duszy: — »Wszechmogący Boże!
Ulituj się niedoli ludu nieszczęsnego
I objaw: jak zwojować Króla Wężowego?...

Ledwo sobie tak westchnął — prawie nieumyślnie,
Zrysowała się skała... i w tem z niej wytryśnie
Łodyga i roztworzy się lilijka biała...
I nic nie rzekłszy, nagle kędyś się podziała...
Tylko woń dziwnie słodka po niej pozostała.

Duma Perłowicz, duma... myśl go trapi nowa:
Czemu lilijka znikła, nie rzekłszy doń słowa?..
Nie mógł odgadnąć — ale rozważał zarazem:
Że łzy miał w oczach tak tym, jak i tamtym razem,
Łez więc trzeba?... Biedaczek uznał bez wachania
Płacz — za najlepszy sposób do jej wywołania.

I nuż biedny chłopczyna na skałach siadywać,
Na płacz się silić i łzy z pod powiek dobywać...
Ale płacz i łzy takie na nic się nie zdały,
I wywołać lilijki wcale nie zdołały.



Nastały żniwa. Kosa na polach podzwania...
Młodzian niechętnie zrazu brał się do grabania —
Z obawy, że go praca i trud całodniowy
Pozbawić mogą słodkiej z lilijką rozmowy...
Lecz wkrótce jął się pracy z serdecznej ochoty,
Rad, że ujmie rodzicom trudów i roboty.

Ledwie zaczął z tą myślą pracować w zaranie
A już w wieczór dnia tego słyszy jakieś granie,
Jakąś dziwną muzykę, brzęczenie i szumy..
I ujrzy w koło siebie złotych pszczółek tłumy —
Jaśniejących — jak gwiazdy, krążących wokoło
Jego głowy z piosenką gwarną i wesołą.
A im gwarniej i liczniej zbiegały się pszczoły,
Tem bardziej czuł się młodzian na duszy wesoły.
Poznał, że pszczółki — co mu nad głową fruwały,
Są to pewno siostrzyczki tej lilijki białej...
Odtąd się codzień chętniej pracy podejmywał,
Byle tylko — jak słusznie w duchu utrzymywał —
Zasłużyć na jej względy... Podwoił mozoły,
Częściej go odtąd złote nawiedzały pszczoły;
Lecz — gdy na ich przybycie jak najpewniej liczył,
Z pewnością ich nie ujrzał, tak — jak sobie życzył.

Skończywszy lat piętnaście — nie pasał już dalej,
Bo rycerze ostatnie kozeczki zabrali;
Ale jak tylko w polu roboty ustały,
Zaczął Perłowicz łapać ryby przez dzień cały.
I niemi to zasilał spiżarnię matczyną,
Gdy Bieda stała w chacie na dobre gościną.

Widząc ojca smutnego i matkę w strapieniu,
Chłopiec, zrazu na wędkę, w szczawnickim strumieniu
Chwytał wąsate brzany i strzebelki żwawe;
A mając już niejaką w rybołostwie wprawę,
Począł razem z drugimi — jak sam — chodaczkami
Uwijać się po leśnych strugach za.. pstrągami.

I upatrzywszy miejsce w strumieniu dogodne,
Dalejże je tak gęsto kamieniami grodzić,
Że choć śród nich prąd wody przejście miał swobodne,
Zdołały każdej rybce ucieczkę przeszkodzić.
I była to rogatka,.. a rybki z żałością
Opłacać ją musiały życiem i wolnością.

Potem biegli pod wodę brzegiem nieco dalej,
I cały nurt strumienia w bok odprowadzali,
Lub utworzywszy stawek, wodę doń spuszczali...
Poczem z ziemi kamieni, lub kawałka belki
Nuż robić wał poprzeczny, coś — nakształt grobelki,
Silnej jednak i mocno spojonej przegrody,
Zagradzającej szczelnie przypływ bystrej wody.
A gdy grobelka — malców przemysłem — stanęła
I woda od rogatki do niej w dół spłynęła,
Wtedy chłopaki tłumnie co tchu się rzucali,
I na dnie osuszonem dopóty zbierali
Rzucające się brzany, pstrągi i strzebelki,
Dopóki napór wody nie zerwał grobelki.

Łatwy był połów taki; ale niezadługo
Tylu chłopców na rybki czychało nad strugą,
A i pstrągi nakoniec tak się przerzedziły,
Że się trudy łapania ich nie opłaciły...
Po całodziennej pracy przynosił kochanej
Matce poczciwy chłopiec ledwo dwie... trzy brzany.

Gdy ryb zabrakło, namysł niedługi:
Perłowicz leśne porzucił strugi,
I odtąd szczęścia szukał w Pieninach,
Rybki w Dunajca łowiąc głębinach.

Kiepsko szło zrazu... pożal się Boże!...
Czegoż cierpliwość jednak nie zmoże?...
Pocznie Perłowicz do chaty znowu
Przynosić matce z tego połowu



Pstrągów, łososi — pełne kieszenie,
Nawet... ostrożne bardzo lipienie.
I łowił ryby... i lotem strzały
Przy tych zajęciach minął rok cały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gdzie wina?

W przystani Nowego Jorku samotny z wieczora siedzi i duma młodzieniec. Na twarz jego padają światła licznych latarni, a twarz ta, chociaż młoda, a jednak zniszczona bólem i cierpieniem. Stoi oszołomiony i patrzy na ciche fale morza, ogromne i sine i goni wzrokiem błędnym gwiazdki po zenicie, jakby ich pytać pragnął o te szare ugory i zielone łany zbożem szumiące w ziemi rodzinnej; stoi zasłuchany, czy jaki szept nie doleci jego uszu od stron ojczystych. Z piersi jego wyrywa się jęk głuchy, który szarpie za serce.

— O Boże! Jak marne me życie! Piekielne męki obsiadły mi duszę i gniotą ciężarem, jak zmora. Myślałem, że tu za morzem zapomnę o niej, że serce pokryje się powłoką zapomnienia, a tu postać jej wiecznie mi w oczach stoi, serce rozpacz i ból trawi.

— Ileż to razy, stojąc nad spienionemi falami, za kończyć chciałem to marne życie, lecz postać jasna mej matki staje mi w oczach i słyszę jej słowa, wyrzeczone przy pożegnaniu: »W Matce Najświętszej szukaj pociechy! Masz tu medalik ten na pamiątkę, noś go na sercu, a Ona w chwilach niedoli smutek twój ukoi«. Słowa te wstrzymują mnie od samobójczej śmierci. Dziś siły me stargane żalem i rozpaczą.

Wtem zbliża się jakiś nieznajomy w stronę nieszczęśliwego młodziana. Usłyszał westchnienie: »Boże, zmiłuj się nademną!« Dźwięk polskiej mowy zagrał mu na nerwach, więc czemprędzej kieruje swe kroki w stronę młodziana, który zapewne rodakiem być musi. Przystępuje więc do niego i wita go. Młodzieniec drgnął, zbudzony z ciężkiej zadumy i bezwiednie odpowiada: »Na wieki«. Patrzy oszołomiony, zdziwiony, wpatruje się długo i rozpoznaje w nieznajomym rodaka z wioski rodzinnej. Wreszcie ucieszony, odzywa się nieśmiałym głosem:

— Ach! To ty Michale? Więc i ciebie bieda wygnała z domu w świat szeroki na tułaczkę i wiedziony nadziemskiem uczuciem, rzuca się mu na szyję a tłumione łkanie piersi mu rozrywa.

— Ach! Powiedz mi bracie, co słychać w wiosce rodzinnej?

— Daruj, mój kochany, ale ja ciebie nie poznaję — odrzecze Michał.

— To ja . Wojciech Ptak, syn leśnego z Wólki.

— Ach! To ty, Wojciechu? O, jakżeś zbiedzony!

— Ach! Powiedz mi Michale, czy żyje matka? ojciec stary? Powiedz mi, Michale, błagam cię, bo ja nic nie wiem. Koleje życia mego straszne, ja bardzo nieszczęśliwy, bom poszedł na drogę śliską i został zbrodniarzem.

— Co? Ty zbrodniarzem? Ty, Wojciechu? — rzecze Michał, nie dowierzając. — Wszak znałem cię tak szlachetnym!

— Na Boga cię proszę, Michale — żebrze błagalnie Wojciech — powiedz, czy żyją moi rodzice i mój brat jedyny?

— Żyją wszyscy w zdrowiu, spokoju; niczego im nie brak, na niczem im nie zbywa, tylko brak im wszelkiej wieści o tobie. Matka całemi dniami płacze i lamentuje, że jej syn najlepszy, kochany, zapomniał o matce, o ojcu staruszku. Nie pragną od ciebie pieniędzy, tylko wieści o tobie. Dzisiaj przypadkowo ja cię znajduję i widzę, żeś złamany i nieszczęśliwy. Ach! Wojciechu kochany, nie taj niczego przedemną, opowiedz mi koleje twojego życia na obczyznie.

Wojciech, po chwili wahania, usiada na ławce, pociąga za sobą Michała i rzecze:

— Słuchaj, rodaku i bracie. Dotąd nikt nie wie, nikomu nie otworzyłem tajemnic serca mojego, tobie jednak opowiem, wyznam szczerze, jak na spowiedzi, bo czuję, że dni mojego życia już policzone. Pamiętasz, Michale, mój domek rodzinny, ukryty w lesie, otoczony drzew cieniem. Ach, jak tam byłem szczęśliwy! Goniąc bydełko moje na łąki, na leśne dąbrowy, grałem dzień cały na mojej fujarce. Z brzozowej kory robiłem kozubki białe, zbierałem co najpiękniejsze poziomki i borówki, zbierałem z radością w sercu i zanosiłem panience. Zdala widziałem jej jasną postać, stała na ganku leśniczówki i śmiejąc się, przybiegała do płotu, wołając: »Niesiesz mi Wojtuś poziomki?« Podałem jagody, »dziękuję«, odrzekła i znikła w głębi domu. Tak co dnia znosiłem jagody, zbierałem kwiaty, wymyślałem zabawki i byłem szczęśliwy; a kiedy w zamian dała mi kilka jabłuszek, to szczęściu memu nie było granic. I mijały miesiące, ona była coraz piękniejszą, dla mnie zawsze miała uśmiechy i nieraz miłe słówko rzuciła, tak że me serce tylko dla niej biło. Dziewczęta wiejskie za mną spoglądały, ale ja żadnej nie widziałem, bo dla mego serca jedna tylko istniała pociecha z leśniczówki. Byłem szczęśliwy, widząc ją zdala, kryłem się w krzaki i godzinami wpatrywałem się w jej okno. Niczego nie pragnąłem, jak widywać ją zdala i tym widokiem napawać serce i duszę. Aż jednego dnia przyjechał jakiś młody pan, potem już jeździł częściej; mówiono, że się ożeni z panienka. We mnie grom uderzył. Poznałem, że ona mi była życiem i wszystkiem, poznałem, że ją zabierze inny na własność, a ja niczego nie pragnąłem, jeno widzieć ją wolną, wesołą i uśmiechniętą; nie moja, ale też niczyją. Oczy teraz nagle mi się otworzyły, jakaś przepaść bezdenna ściele się między nami; ona jest dla mnie gwiazdką niedostępną, bom ja chłop, syn gajowego, a ona?... Uparłem się więc jechać do Ameryki. Matka płakała, prosiła, bym pozostał, że w domu na roli nie ma kto pracować, bo starszy brat poszedł już na swoje, a ojciec stary, niezdolny do pracy. Nie pomogły żale, serce pękało z bólu, jechać musiałem. Tak uciekałbym przed mojem cierpieniem i rozpaczą na kraj świata, i uciekłem. Po niedługim czasie napisałem list do rodziny. Odpisali mi zaraz. Chociaż nikt nie wiedział, co mnie wygnało z ojczyzny za morze, jednak na końcu listu była wiadomość, że wesela na leśniczówce nie będzie. bo panienka nie chce iść jeszcze za mąż. Zaświtała mi nadzieja, zdawało mi się, że wkrótce stanę się bogaczem, powrócę do kraju szczęśliwy. Dalej nie chciałem myśleć, tylko pracowałem ile sił, oszczędzałem i wysyłałem pieniądze do domu i składałem tutaj w kasie. Tak trwało trzy lata. Nieraz przysłała mi pozdrowienie w liście mojej matki. O, wtedy byłem pijany szczęściem, zdawało mi się, że ona o mnie myśli czasem, że się domyśla, czem jest dla mnie. Niestety, nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszła wiadomość z za morza, że ona wyszła za mąż. Oszołomiony — wybiegłem tu nad morze, gnany ślepą rozpaczą, a wtem »stój!« krzyknął ktoś za mną. »Gdzie pędzisz, chodź z nami, zabawisz się wesoło!« Towarzysz pociągnął mnie za rękę i mimo woli poszedłem za nim do jakiejś knajpy. Stałem się pijakiem i hulaką; w gronie podobnych, dobranych towarzyszy spędzałem chwile i piłem, aby w kielichu utopić moją boleść. Aż raz w takiej chwili zabawy powstała sprzeczka między towarzyszami. Pijany winem i rozpaczą, widząc jak jeden z towarzyszy pchnął nożem drugiego, porwałem stołek i roztrzaskałem głowę rzezimieszka, który bez jęku padł martwy na ziemię. — Stałem się zbrodniarzem. Zabrano mnie zaraz do więzienia i tam w ciemnym, wilgotnym lochu pokutowałem sześć lat. Dzisiaj właśnie napiętnowano mnie i wypuszczono na wolność. Oto tajemnica mojego życia. Widzisz więc, jak jestem nieszczęśliwy. Dziś Bóg przyprowadza mi ciebie...

Nie dokończył nieszczęsny tych słów, wycieńczony długiem więzieniem, zmęczony opowiadaniem, zakaszlał się; krew uderzyła ustami. Omdlałego zaprowadził powoli Michał na stancyę rodaków. Przybył lekarz, lecz nie mógł poradzić, bo życie nieszczęśliwego wygnańca gasło z dnia na dzień i wiądł coraz bardziej za to, że nie mógł się pogodzić ze swoim losem, a odpokutował swą winę ciężko, za chwilę zapomnienia, w której rozpacz pchnęła go na złą drogę. Wyspowiadał się szczerze i skonał na rękach swoich rodaków i przyjaciół. A kiedy wieść o śmierci Wojciecha doszła za morze do rodzinnej wioski, jęk głuchy szarpnął zbolałem sercem matki, echo tego jęku obiło się i o mury leśniczówki i wniknęło do wnętrza.

J. Jarmuła.

Do pracy.

Trochę na północny zachód od nas leży mały lecz bogaty kraik, Holandya.

W czasach dawnych, kiedy to żyli jeszcze nasi prapradziadowie, kraj ten był zalewany zawsze morzem i pełno było trzęsawisk i moczarów. Zdawało się, że ten szmat ziemi zostanie zawsze w posiadaniu morza i wody. Lecz lud tamtejszy z mrówczą wytrwałością sypał na brzegach morza groble i wały, aby powstrzymać wylew morza a przez to kraj obsuszyć. Dziś śmiało Holender może powiedzieć, że ów kawał ziemi wydarł morzu własnemi rękami i teraz pędzi życie wesoło i poczciwie, wśród ogrodu kwiatów, któremi obdarza cały świat.

Jakiż wzór pozostawia nam ów kraj, Holandya i jego mieszkańcy? My też żyjemy dzisiaj wśród zalewu, lecz nie morza, tylko wśród zalewu ciemnoty ludu. walki społecznej i nienawiści, jaka nas opanowała. Czyż pomimo nałogu pijaństwa, największego wroga oświaty, który się rozpanoszył tak po wsiach, jak i po miastach naszych, pomimo gorączkowej emigracyi stać nam z założonemi rękami?

O nie! ale jak owi Holendrzy wziąć się nam trzeba do pracy poświęcającej, mozolnej i wytrwałej.

Wznosić groble z mocnej, usilnej i pożytecznej nauki, budować tamy opilstwu i nierozsądnej emigracyi przez zakładanie czytelń, lepszą uprawę ziemi i przez rozszerzanie naszych gazet katolickich i zachęcanie do ich czytania. Popierajmy naszą prasę, prasę katolicką. Spiesz »Rolo« kochana pod wiejskie strzechy wieśniacze, zapal ogień miłości Ojczyzny, pobudź serca do lepszej pracy nad umoralnieniem ludu. Ty jedna potrafisz wstąpić pierwej do serc, niżli do chat, nie siejąc nienawiści i ujadków stronniczych, lecz słowa zgody i pojednania. Wszak sam Pan Jezus powiedział: »Wszelkie królestwo, podzielone przeciwko sobie, upadnie«.

My dziś żyjący, rozdzieleni słupami granicznymi, nie rozdzielajmy się bardziej przez nienawiść i niechęć, jaka panuje wśród nas, gdyż wróg nasz nie zasypia gruszek w popiele i z każdej naszej nieporadności, pochodzącej z ciemnoty, wyciąga zysk na korzyść swoją a zgubę naszą.

W tej to pracy nad umoralnieniem i uświadomieniem ludu w swej samodzielności, podać sobie ręce i iść za głosem wieszcza naszego:

»Niech żywi nie tracą nadziei
I niosą przed narodem oświaty kaganiec«.

Mieszkańcy Holandyi niech nam będą przykładem i pobudką do wytrwałej i zwycięzkiej pracy, a Polska wstanie wolna, jak dawniej była, od morza do morza. A więc do pracy!

Jan Pożdał.

MACOCHA.

Żal jej umierać, żal było i życie żegnać na wieki, pod zimną kłaść się mogiłą i wiecznie zamknąć powieki... jak ognik wieczyście spłonąć i gdzieś w wieczności utonąć.

Rozkaz był z nieba, więc rzucić trza było męża, dostatek!... Odejść, by więcej nie wrócić do chaty, mienia i dziatek! Rozkaz wyraźny był z nieba od Boga, więc słuchać trzeba!...

A kiedy w grobie leżała, płacz ją obudził sierocy.

To jej najmłodsza płakała...

Szła skarga cicha po nocy, którą słyszała, jak we śnie, bo w grób się wdzierała boleśnie.

Więc matka żalem przejęta, z obrazkiem dźwignie swe dłonie i woła:

— Panno Ty święta! Królowo przy Bożym tronie, płacz dziecka w grobie mnie budzi — daj iść mi na świat... do ludzi!... Wszakżeś Ty dziatek patronką! — ulituj się smutku mego — zanim ranne zejdzie słonko, znijdę znów do grobu tego, tylko dziecka płacz ukoję, tylko uśpię dziecię moje!...

I choć prosi i choć błaga, tylko wicher liściem szumi i gałęźmi ziemię smaga, a jęk w grobie matki tłumi i zagłuszyć się go sili, choć tam w chacie dziecię kwili.

A tak mija noc za nocą... Z grobu bije w niebo skarga, lecz nie spieszy nikt z pomocą, choć ból sercem jej tak targa... Anioł Boży tu nie zleci, by wypuścić ją do dzieci.

I mijają dni za dniami...

Przeminęło już pół roku — oczy dzieciąt płyną łzami a tu z grobu nie zrób kroku! I choć skarga w niebo płynie, jęk bolesny w ciszy ginie.

Aż raz Matka Litościwa nad mogiłą nad zieloną staje i tak się odzywa:

— »Z niebios, kędy gwiazdy płoną, niosę tobie takie wieści, które ulżą twej boleści!...

»Niech ból tobą już nie miota, bo w twej wiosce na ustroni, wśród lip wonnych i jabłoni, mieszka Jaguś — też sierota... Chcąc twym dziatkom ulżyć trochę, dam im Jagnę za macochę.

»Zna Jagusia, co to bieda! Mając serce dobre, złote, dziatkom krzywdy zrobić nie da, lecz utuli twą sierotę i życie im ich osłodzi... Bóg ją za to wynagrodzi!

»Bo sierotę kto przygarnie, bo kto otrze łzę sierocie, więcej łask od Boga zgarnie, niżby czynów dobrych krocie w życiu zdziałał. Bóg nagrodzi, kto sierotom życie słodzi!

I zniknęła święta Panna z nad zielonej tej mogiły tam, gdzie zorza wschodzi ranna...

A noc ranne blaski skryły...

A w grób weszło ukojenie — a do serca pocieszenie!

Upłynęło czasu trochę...

Ojciec sierot posłał swaty — poszła Jaguś na macochę, do wdowcowej poszła chaty, gdzie sieroty przytuliła, gdzie sierotom matką była.

Gdy kto czyni jak Bóg pragnie, tego łaską Pan Bóg darzy! — Błogosławił więc Bóg Jagnie, że, co pocznie, to się zdarzy, że co zechce, już się stanie, za tych sierot ukochanie... . . . .
. . . .

I zaprawdę, gdy macocha z serca Bożą wolę pełni, gdy pasierby swe pokocha, to jej prośby Bóg wypełni, da jej w życiu szczęścia mnogo, że jej lata przejdą błogo.

Antoni St. Bassara.

OTO CZŁOWIEK!

Piłat, chcąc wzbudzić litość u żydów dla P. Jezusa, skatowanego i zbitego, kazał ukazać Go żydom z słowami: „Oto człowiek!“



ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXI.

Pułapki. — Lisy i pekari. — Śnieżyca. — Stolarstwo i koszykarstwo. Znowu tajemnica. — Ziarnko śrutu.

Mocne zimna trwały aż do 15 sierpnia. Gdy powietrze było spokojne, łatwiej było znosić tak niską temperaturę, lecz gdy dął wiatr od morza, zimno bardzo dawało się we znaki ludziom, nie mającym odpowiedniego okrycia. Penkroff ubolewał mocno, że zamiast tych lisów i fok, których futra niewiele były warte, raczej niedźwiedzie nie gnieździły się na wyspie Linkolna.

Harbert, Penkroff i reporter zajęli się zastawianiem pułapek na płaszczyznie Pięknego Widoku i przy wejściu do lasu. Pułapki te były bardzo proste. Pokopali doly i przykryli je trawą i gałęziami, a w głębi kładli coś na przynętę dla zwierząt. Dołów tych nie kopali na chybił trafił, lecz w tych tylko miejscach, gdzie znać było ślady zwierząt czworonożnych. Marynarz pourządzał także wnyki z włókien trzcinowych i te okazały się korzystniejsze od pułapek. Prawie codziennie łapały się na nie króliki, które Nab przyrządzał coraz z innym sosem.

W drugiej połowie sierpnia kilkakrotnie łapały się w pułapki inne zwierzęta, daleko użyteczniejsze od lisów, a mianowicie kilka dzików, które dostrzegli dawniej w okolicy jeziora. Penkroff już nie pytał, czy były dobre do jedzenia, gdyż można było poznać to odrazu po wielkiem ich podobieństwie do świń amerykańskich i europejskich a zwały się one »pekari«.

Dnia 15 sierpnia atmosfera zmieniła się nagle skutkiem wiatru północno-zachodniego. Temperatura podniosła się o kilka stopni, a para, nagromadzona w powietrzu, niebawem w śnieg się zamieniła. Cała wyspa białym pokryła się całunem i pod nową postacią ukazała się rozbitkom. Śnieg ten padał obficie przez kilka dni i pokrył ziemię na dwie stopy grubo. Wkrótce zaczął dąć wiatr gwałtowny i z wierzchołka Granitowego pałacu słychać było morze, z hukiem rozbijające się o skały. Jakież to dzięki składali teraz Stwórcy mieszkańcy Granitowego pałacu za to tak trwałe i niewzruszone mieszkanie, w którem byli zupełnie bezpieczni i burza tak gwałtowna szkodzić im nie mogła. Gdyby, jak zamierzali, zbudowali byli dom z drzewa i cegły, pewnie nie oparłby się wściekłości rozszalałej burzy. Kominy także pewno zalewały rozhukane morskie bałwany. Pałac zaś Granitowy nie lękał się ani burzy, ani wody, ani żadnych zmian powietrza.

Podczas tego kilkodniowego aresztu koloniści nie próżnowali. Mieli dużo porzniętych desek, to też uzupełniali umeblowanie swego apartamentu, wyrabiając stoły i krzesła. Nab i Penkroff tak byli z nich zadowoleni, że nie zamieniliby ich za najcudniejsze meble z drzewa różanego. Następnie ze stolarzy zamienili się na koszykarzy i nowe to rzemiosło wcale dobrze im się wiodło. W północnej części jeziora odkryli wielką ilość czerwonej trzciny. Pierwsze próby nie były udatne, ale dzięki zręczności i pojętności robotników niebawem znaczne poczynili postępy w koszykarskiej robocie.

W ostatnim tygodniu sierpnia czas zmienił się raz jeszcze; temperatura się trochę obniżyła, burza uspokoiła się i koloniści mogli wyjść z mieszkania. Śnieg na dwie stopy grubości pokrywał ziemię, lecz był tak twardy, że bardzo wygodnie stąpać po nim było można.

Aby nie marnować czasu podczas tego przymusowego zamknięcia, Cyrus wymyślił zatrudnienie nie wymagające wychodzenia z domu. Wiemy już, że nie mieli cukru i zastępowali go sokiem z drzewa klonowego, otrzymywanym przez głębokie nacinanie. Płyn ten zlewali w naczynia i następnie używali do napojów i do kuchni. Starzejąc się, sok klonowy bieleje i ścina się w syrop. Było to wiele, lecz jeszcze nie dość i dlatego pewnego poranku Cyrus oznajmił towarzyszom, że teraz zajmą się rafineryą cukru. Po kilkogodzinnem wrzeniu na dobrym ogniu, na który pracownicy bynajmniej się nie skarżyli, sok zamienił się w bardzo gęsty syrop, który zlali w przygotowane na ten cel formy. Nazajutrz zastygły syrop zamienił się w cukier, wprawdzie nie biały, ale twardy i smaczny.

Niewola zimowa przykrzyła się bardzo kolonistom. Nie mieli biblioteki, lecz inżynier stał się dla nich prawdziwą encyklopedyą, zawsze zadawalającą wszelkie wymagania i potrzeby. I tak czas upływał, oswajali się ze swem położeniem i jakoś nie lękali się przyszłości. Najwięcej jednak niecierpliwił się biedny Top, któremu jakoś duszno i ciasno było w Granitowym pałacu; biegał z pokoju do pokoju i często, bardzo często zatrzymywał się przy owej studni, mającej jakąś komunikacyę z morzem. Cyrus zauważył, iż ilekroć Top zbliżał się do tego miejsca, skowyczał i wył jakoś dziwnie, obiegając dokoła klapę drewnianą, zakrywającą otwór studni. Niekiedy próbował koniecznie wsunąć łapę pod klapę, jakby pragnął ją podnieść i ujadał gwałtownie w sposób, zdradzający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier zwracał baczną uwagę na te manewry swego wiernego psa. Co mogło być w tej otchłani, co tak niepokoiło zmyślne zwierze. Niema wątpliwości, że dochodzi do morza. A może ciasnemi przejściami łączy się z innemi pieczarami? Może jaki potwór morski przebywa w niej niekiedy. To postępowanie Topa nad wszelki wyraz zaciekawiało i intrygowało jego pana; rozumiał, że tu jest coś, czego rozwiązać nie może. Jednak nie chcąc niepokoić towarzyszów i teraz, jednemu tylko Gedeonowi opowiedział swoje zamysły.

W drugiej połowie września znów rozpoczęło się polowanie. Penkroff nieustannie domagał się palnej broni, wmawiając w inżyniera, że mu przyrzekł wyrabiać ją. Ale Cyrus, wiedząc że niepodobna tego dokazać bez odpowiednich narzędzi, przekładał marynarzowi, że Harbert i Gedeon Spillet tak doskonale strzelają z łuków i tyle najrozmaitszej przynoszą zwierzyny, iż broń prawie jest niepotrzebna. Jednakże obecnie przedewszystkiem trzeba było myśleć o zaopatrzeniu się w odzież, gdyż ta, jaką posiadali, nie dotrwa do zimy. Oczekiwali zatem niecierpliwie nadejścia ciepłej pory, gdy wtem zdarzył się wypadek, który zwiększył jeszcze gorącą ich żądzę poznania całej wyspy.

Było to dnia 24 października. Penkroff wybrał się do pułapek i w jednej znalazł trzy sztuki: samicę pekari i dwoje małych. Marynarz wrócił uradowany niezmiernie.

O piątej podano do stołu. Potrawa z pekari bardzo wszystkim smakowała. Penkroff szczególniej odjeść się jej nie mógł. Wtem nagle zawołał, wyjmując coś z ust.

— Patrzcie, ziarnko śrutu! Zwierzyna już przed dostaniem się w nasze ręce była postrzelona.

ROZDZIAŁ XII.

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa łodzi. — Łowy. — Z wierzchołka drzewa. — Nic, coby świadczyło o obecności człowieka. — Żółw przewrócony. — Zniknięcie żółwia. — Wyjaśnienie Cyrusa.

Gdy Penkroff położył na stole owo ziarnko śrutu, towarzysze jego zwrócili na nie zdumione spoj-

rzenia i wszystkie następstwa tego tak błahego na pozór wypadku stanęły im odrazu w myśli. Cyrus Smith odezwał się pierwszy:

— Czy jesteś pewny — rzekł do Penkroffa — że pekari zraniony tym śrutem, nie miał więcej nad trzy miesiące?

— Zaledwie trzy miesiące, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Ssał właśnie, gdy go znalazłem.

— W takim razie nie można powątpiewać, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś polował na wyspie Linkolna — mówił dalej inżynier.

— I że ziarenko śrutu zraniło lekko to zwierzątko — dodał Gedeon Spillet.

— Bez wątpienia — rzekł Cyrus. — Z tego zaś następujące trzeba wyprowadzić wnioski: albo wyspa była już zamieszkana przed naszem przybyciem, albo też ludzie wylądowali na nią w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

— Nie! — przerwał Penkroff, wstając od stołu. — Pewny jestem, że prócz nas niema tu nikogo więcej!

— Musimy zatem przypuścić — odezwał się Cyrus Smith — że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś strzelał na wyspie. Sądzę jednak, że ten ktoś albo niedawno wylądował, albo chwilowo tylko przebywał, bo gdyby ludzie znajdowali się na niej w czasie naszej wycieczki na górę Franklina, to albo my ich, albo oni nas musieliby zobaczyć. W każdym zaś razie powinniśmy jak najspieszniej dowiedzieć się prawdy.

— I zabezpieczyć się, o ile możności — dodał reporter.

— Oczywiście — odpowiedział Cyrus Smith — bo, niestety, można się obawiać, że byli to korsarze malajscy.



...wspólnemi siłami przewrócili go na wznak.

— Panie Cyrusie — odezwał się Penkroff — czy nie wypadałoby przedewszystkiem zbudować czółna, abyśmy, w razie potrzeby, mogli puścić się rzeką lub opłynąć wybrzeża. Lepiej zawsze być przygotowanym na wszystko. Ja podejmuję się zbudować łódkę w przeciągu pięciu dni, w której bezpiecznie będziemy mogli pływać po naszej rzece i okrążać brzegi wyspy.

— A więc dobrze, za pięć dni dopiero rozpoczniemy nasze poszukiwania. Tymczasem zaś zalecam wam największą ostrożność i proszę, abyście nie oddalali się zbytnio od Granitowego pałacu.

Pewność, że prócz nich znajdują się na wyspie inni mieszkańcy, zaniepokoiła żywo naszych kolonistów, a wieczorem Cyrus i Gedeon długo o tem rozmawiali ze sobą. Według nich ten wypadek miał pewną styczność z cudownem, a dotąd niezrozumianem ocaleniem inżyniera i wielu niepojętemi dla nich wypadkami. Wkońcu Cyrus rzekł do przyjaciela:

— Czy chcesz, kochany Gedeonie, abym ci powiedział, co o tem myślę?

— Ma się rozumieć.

— A więc pewny jestem, że choć najstaranniej przeszukamy całą wyspę, nic nie znajdziemy na niej.

Penkroff zaraz nazajutrz zabrał się do roboty. Nie chodziło tu o zbudowanie prawdziwej łodzi, ale o łódkę taką, jakiej używają dzicy, a dostateczną do pływania po Mercy, szczególniej w pobliżu źródeł, gdzie woda nie była zbyt głęboka. Marynarz miał ją zbudować z wielkich kawałów kory, tak szczelnie z sobą pozbijanych gwoździami, aby woda nie mogła dostać się do wewnątrz.

Nazajutrz, 28 października, zaszło znów nowe zdarzenie, trudne do wytłómaczenia. Nab i Harbert, idąc nad brzegiem morza, schwytali ogromnego żółwia. Harbert spostrzegł go, gdy przesuwał się między skałami, dążąc do morza.

— Nabie! chodź prędko! — zawołał.

— Pyszne zwierzę — rzekł Nab, nadbiegając. — Ale jak go tu schwytać?

— Bardzo łatwo — odpowiedział Harbert. — Przewrócimy go na wznak i nie będzie mógł uciec. Weź swój oszczep i podsuń pod niego.

Żółw, czując niebezpieczeństwo, skrył się w skorupę, tak że nie widać mu było nawet nóg i głowy, i leżał nieruchomy jak skała. Nab i Harbert podsunęli jednocześnie swe oszczepy pod piersi zwierzęcia i wspólnemi siłami, choć z trudem, przewrócili go na wznak. Żółw, długi na trzy stopy, ważył najmniej czterysta funtów.

— Wybornie! — zawołał Nab. — Jak to ucieszy Penkroffa.

Rzeczywiście Penkroff mógłby być zadowolony, gdyż mięso tego gatunku żółwiów, żywiących się morskiemi roślinami, jest bardzo smaczne.

— Cóż teraz zrobimy z naszą zdobyczą? — rzekł Nab. — Nie zdołamy zaciągnąć jej sami do Granitowego pałacu.

— Ponieważ nie może odwrócić się i uciec, pozostawimy tutaj — odpowiedział Harbert — a sami pójdziemy po wóz.

Harbert przez ostrożność, która Nabowi wydała się zbyteczną, podsunął z dwóch stron pod tarcze żółwia duże kamienie, tak że się na bok nie mógł przechylić, poczem obadwaj myśliwi wrócili do Granitowego pałacu. Harbert, chcąc zrobić niespodziankę Penkroffowi, nie wspomniał mu nic o żółwiu, lecz obadwaj z Nabem starali się sprowadzić go jak najprędzej. We dwie godziny później byli już z wozem na miejscu, gdzie swą zdobycz zostawili, lecz żółw zginął bez śladu.

Nab i Harbert spojrzeli naprzód na siebie, następnie wokoło siebie. Wszakże tu pozostawili żółwia. Harbert znalazł nawet kamienie, któremi go otoczył, był więc pewny, że się nie myli, pomimo to jednak żółwia nie było.

— A więc te zwierzęta mogą się odwracać? — rzekł Nab i popatrzył ze zdziwieniem na Harberta, jakby nie dowierzał jego słowom.

— Tak się zdaje — odpowiedział Harbert, sam nie wiedząc, co ma o tem myśleć i przyglądając się rozrzuconym kamieniom.

Zabrali więc pusty wóz i wrócili do Granitowego pałacu.

Harbert udał się zaraz do warsztatu, aby opowiedzieć całe zdarzenie inżynierowi, pracującemu wspólnie z Penkroffem.

— Sądziłem, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że żółwie, zwłaszcza wielkie, nie mogą powstać na nogi, gdy zostaną na wznak przewrócone.

— I nie myliłeś się, mój chłopcze — odpowiedział inżynier.

— A więc jakimże sposobem ten mógł powędrować sobie?

— Jak daleko od morza zostawiliście żółwia? — zapytał inżynier po krótkim namyśle.

— O piętnaście stóp najwięcej — odpowiedział Harbert

— A było to w czasie odpływu morza.

— Tak, panie Cyrusie.

— W takim razie, zdaje się, że to, co było niepodobne dla żółwia, leżącego na piasku, stało się możliwe w wodzie. Musiał się odwrócić na nogi, gdy go woda uniosła i popłynął spokojnie.

Nie śmielibyśmy zaręczyć, czy Cyrus Smith, dając to prawdopodobne tłómaczenie, był sam przekonany o jego prawdziwości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W Niedzielę Palmową.

Hosanna! Hosanna! dzisiaj Kościół śpiewa.
Ach, bo to Palmową święcimy niedzielę!
Tłum wiernych z palmami z świątyni wylewa,
A płynąc procesyą, przed Panem się ściele!...

Hosanna Tobie, o Synu Dawidów,
My polskie dzieci dziś Ci śpiewać chcemy
A zrzucając z serc podłą maskę żydów,
My dziś gałązki serc czystych ścielemy!...

Wjeżdżaj w tryumfie w polskie Jeruzalem,
Ono dziś będzie wdzięczniejsze dla Ciebie,
Mieszkańcy jego zmażą winy żalem...
Siejąc cnót kwiaty na serc swoich glebie.

Hosanna, Chryste!... śpiewajmy z miłością
Na wszystkich krańcach rozdartej Ojczyzny!
Jezus obdarzy nas Swoją litością,
I zgoi naszych serc największe blizny!

Hosanna Tobie, Panie z wysokości!!
Niech Ci miliony razy powtarzamy...
Daj niech nie tracim tu na tej niskości
Błogiej nadziei, że wolność zyskamy!

Walenty Pasierb.



MACIEK BZDURA GADA:

Policyjon z Zatracony Wsi źli się okrutnie na ministra Zaleskiego, ze chce skasować loteryją.

— Jakto — pada — przez sto sześćdziesiątjeden lat ludziska cieszyli się wygrywaniem, a tu teraz jak pierun z jasnego nieba przychodzi wiadomość, ze loteryi nie będzie. Choć ta, co prawda, cłek nigdy nie wygrał, ale bez cały tydzień za szóstkę miał nadzieję ze wygra, a nadzieja za szóstkę bez tydzień to wielga rzec.

La nasego policyjana wszyćko, co się działo na świecie, miało wielgie znacenie. Jak miała u gospodarza jałówka pirsego bycka, to policyjan stawiał zaraz jedynkę, bo był pirsy bycek, pietnastkę, bo na gospodarzowy chałpie pietnasty lumer i śtyrdzieści śtyry, bo tyla se gospodarz roków rachowali. Po ciągnieniu uźroł policyjan, ze zaden lumer nie trafił, ale wtedy padał, ze loteryjniki pocyganili, bo te trzy lumera powinny były wyjść.

Jak się mu śniła stara baba, idąca drogą wele stawku, to stawiał 9, 10 i 90, a miało to znacyć: stara baba skrzywiona jak dziewiątka, droga to jedynka a przy ni stawek to zero, zaś dziewięćdziesiąt to najwięksiejsa licba, którą mozna stawiać, a pewnikiem tyla roków kuzda stara baba se rachuje.

Ogień według sennika znacył u niego złodzieja a złodziej to felarna osoba, a felarny lumer to trzynaście, więc stawiał na loteryą 13. Jak się mu śniło wesele, to miało znacyć niescęście, a cóz gorsego, jak dwie kosy, a dwie kosy to 77 — i znowu lumer na loteryją gotowy.

Raz śniło mu się, ze był organistą i ze go prosili na wesele do Izydora Kuby. Na weselu postawili przed niem graniatkę okowitki, pół kiełbasy i bochenek chleba. Tak się uciesył na tem weselisku, ze go bez tydzień brzuch bolał. Jak się ino obudził, tak pada zaraz do poganiaca od wójta:

— Wis Walek! dziś w nocy miałem taki ślicny sen, ze pewnikiem będzie terno abo choć ambo i opedzioł Walkowi wszyćko.

Walek radził, co organista 8, bo gęba okrągła i brzusek okrągły, pół kiełbasy, to jakby 6 a bolenie brzucha to przynajmniej kilkanaście a ze nie wiadomo ile, radził postawić 19, zaś graniatka, jako to ma śtyry strony, wypadało postawić 4.

Policyjan usłuchał i, co padacie, o mało ze nie trafił: wysło 38, 13 12 i jesce jakiesi dwa lumera, a przecie wiadomo, ze dwa razy 19 to 38, dziewięć a sześć to 15 a trzy razy śtyry to 12. Trza ino było tak wykalkulować a terno było pewne.

Choć policyjan nie wygrał, ale bez cały tydzień miał nadzieję a teraz to nawet i tego juz mu nie będzie wolno.

Tak to zawse bidnemu wiater w ślipie wieje! Chciałbyś się krzynkę poratować, z bidy wygrzebać, to ci nie dadzą.

Z TYGODNIA.

Wybór posła. Dnia 26 b. m. wybrano w Krakowie posła na Sejm z wielkiej własności Dra Stefana Skrzyńskiego, prezesa Rady pow. krakowskiej.

Wybór posła do parlamentu z Rzeszowa. Namiestnictwo rozpisało wybór uzupełniający jednego posła do Rady państwa z okręgu wyborczego Rzeszów (w miejsce ministra Bilińskiego) dla wyboru pierwszego na dzień 2 maja, dla wyboru ściślego na dzień 9 maja.

Sprawa budowy kanałów weszła na porządek dzienny Izby poselskiej austryackiej, mianowicie odbyło się pierwsze czytanie przedłożenia rządowego o budowie kanałów. Przypomnieć należy, że ustawę o kanałach uchwalił parlament jeszcze w roku 1901, nie była ona jednak dotąd wykonywaną. Że sprawę tę, dla podniesienia gospodarczego Galicyi tak ważną, uczyniono znowu przedmiotem prac parlamentu, że już jest wykluczonem, aby została zaniechaną, jest zasługą obecnego, silnego i mądrze politykę prowadzącego Koła polskiego.

Zniesienie loteryi liczbowej. Minister skarbu Zaleski wniósł w parlamencie przedłożenie o zniesieniu loteryi liczbowej. Znalazł on szczęśliwie sposób zniesienia loteryi liczbowej bez naruszenia równowagi budżetowej. A nie było to łatwo, bo loterya liczbowa przynosi państwu do 18 milionów koron dochodu rocznie. Projekt p. Zaleskiego wprowadza loteryę klasową a w miarę płynących z niej dochodów ogranicza loteryę liczbową przez zmniejszanie ciągnień i znoszenie kantorów loteryjnych, a kiedy ten dochód dojdzie do 70 milionów, całkowicie ją znosi. Minister jest zdania, że uda się to może do lat trzech, ale gdyby nawet trwało parę lat dłużej, ostatecznie koniec loteryi liczbowej jest pewnym. — Loterya klasowa jest bez porównania droższą od dotychczasowej liczbowej. Najbiedniejsza więc ludność nie będzie mogła z niej korzystać, a przez to uchroniona zostanie od namiętności gry, która rzemieślnika, włościanina czy robotnika parła do trwonienia pieniędzy na loteryę. Stała się ona w naszym kraju istną plagą ludności, podobnie jak karczma. Kto w mieście czy miasteczku w dniu, gdy rezultat ciągnienia wiadomy przybywa do kantoru, widział te tłumy biedaków, cisnące się do sklepu, gdzie oczywiście żyd trzyma loteryę, stojące zbitą gromadą przed tablicą z numerami i odchodzące wreszcie z niczem, temu z pewnością zawsze na myśl przychodziło, jakiem nieszczęściem jest tania, centowa loterya liczbowa. Na setki, na tysiące stawiających, kiedyś jeden zrobił »terno« a inni, spodziewając się, że i im los się uśmiechnie, zamiast pracować i oszczędzać, bez upamiętania przez długie lata stawiali i stawiali na darmo. Gdyby taki zapamiętały gracz na loteryi te 20 i 40 halerzówki, które przegrał w loteryę, włożył do kasy, po latach mógłby mieć skromny fundusik, a tak stracił na stawki, często od ust sobie i rodzinie odejmując. Wielką jest zasługą ministra Zaleskiego, że podjął się dzieła zniesienia loteryi liczbowej. Z jego nazwiskiem na zawsze złączone zostanie położenie końca niemoralnej instytucyi, łudzącej łatwowierne warstwy ludności nadzieją wygranej, a wyciskającej z nich zapracowany grosz.

Zjazd monarchów. Austrya, Niemcy i Włochy tworzą, jak wiadomo, ścisły związek sprzymierzeńców. Szczególnie Austrya i Niemcy dochowują sobie od szeregu lat wierności w sprawach międzynarodowych. Włochom mniej tamte dwa państwa dowierzają, ale i one w trójprzymierzu trwają, bo leży to w ich interesie. Obecnie z powodu wojny włosko-tureckiej o Trypolis, która sprowadzić może zawikłania międzynarodowe, było koniecznem porozumienie się ściślejsze tych trzech państw. Zapewne dokonane ono zostało przez odbyty przed tygodniem zjazd monarchów; mianowicie cesarz niemiecki Wilhelm odwiedził króla włoskiego w Wenecyi a następnie cesarza austryackiego w Wiedniu.

Na pruskim chlebie. Przed jednym z sądów pruskich toczył się niedawno proces, którego przedmiotem było nieludzkie obchodzenie się z polskim ludem roboczym z Galicyi i Królestwa Polskiego. Proces skierowany był przeciwko redaktorowi gazety, która opisała stosunki w dobrach jednego z panów niemieckich i w tym opisie niby obraziła go na honorze. Redaktora owej gazety zasądzono na karę pieniężną, chociaż przed sądem wyszły na jaw takie oto jaskrawe rzeczy. Robotników polskich z Galicyi nazywał dziedzic i jego dozorcy: »leniwymi psami«, »świńskimi psami«, »polskimi psami«, »polskimi świniami«. Jedzenie dostawali nieraz bardzo marne, bo nawet z robactwem. Bicie robotników polskich było na porządku dziennym, a nieraz przechodziło w najbrutalniejsze katowanie. Pan dziedzic przyświecał dozorcom przykładem. Bił harapem, pewnie dlatego, żeby sobie rąk nie brudzić. Bił ludzi na polu, gdy mu się zdawało, że nie dość pilnie pracują; bił ich, gdy się dowiedział, że uskarżali się na złe jedzenie, bił ich zamkniętych w kuchni, dokąd ich sobie kazał sprowadzać, a bił tak, że harap pryskał w kawałki, no i skóra polskich robotników też pewnie nie pozostawała cała. Z dozorców jeden bił pękiem kluczy po głowie, drugi batem aż do omdlenia, inny uderzał swoje ofiary trzonkiem od wideł, inny znów walił kijem. I w taki to sposób znęcano się nad tym poczciwym i potulnym ludem polskim, który przybywał w te obce strony, zwabiony przez niesumiennych ajentów najjaskrawszemi obietnicami, aby niemieckiemu panu oszczędzić grube tysiące, który byłby musiał więcej płacić robotnikowi niemieckiemu. Jakie to smutne dla nas, że rodaków naszych śmią tak traktować i poniewierać, jak gdyby byli gorszymi od innych. Niestety znamy dobrze przyczynę, dlaczego z nimi tak się obchodzą, wiemy dobrze, że na coś podobnego nigdyby sobie nie pozwalali, gdyby ten robotnik polski z Galicyi i Królestwa Polskiego więcej miał oświaty i samowiedzy. Najusilniej zatem trzeba zachęcać lud nasz do oświaty, do czytania gazet, bo to jedyny sposób obrony od takiego poniewierania, o jakiem była mowa w tym procesie. Inteligentnego, uświadomionego robotnika niemieckiego czy czeskiego, niktby tak traktować nie śmiał, jak polskiego.

Prześladowanie katolicyzmu na Litwie. W Wilnie wytoczono znowu szereg spraw przeciw duchownym katolickim. Trzech księży za ochrzczenie dwojga prawosławnych w kościele katolickim i udzielenie im ślubu, skazano na 3—4 miesięcy zawieszenia w urzędowaniu i po 200 rubli grzywny. Dwóch włościan skazano na 3 miesiące twierdzy za ochrzczenie dzieci w kościele katolickim. Pewne małżeństwo za to samo skazano na 2 miesiące twierdzy.

Warunki pokojowe Włoch. Włochy podobno łagodzą swoje warunki pokoju o tyle, że nie żądają, aby Turcya formalnie uznała aneksyę to jest zabór Trypolitanii, a żądają tylko, aby Turcya wycofała swoje wojska z zabranych prowincyi, a uznanie aneksyi pozostawiają mocarstwom. Ale i na ten warunek Turcya zgodzić się nie chce.

Wielki strajk angielski być może, iż zostanie rychło ukończony, bo rząd wniósł w Izbie gmin (parlamencie) przedłożenie, dotyczące przyznania pewnych najniższych płac dla górników w kopalniach węgla.

KRONIKA.

Pocieszający objaw. Prawie codziennie otrzymujemy od naszych kochanych Czytelników listy ze słowami uznania i pochwał. Nie drukujemy ich, aby nie posądzono nas o samochwalstwo, niemniej jednak listy te cieszą nas bardzo i są dla nas zachętą do tem mozolniejszej i wydatniejszej pracy. — Zdarza się jednak, że ludzie, którym prawdziwa oświata staje w drodze do ich burzycielskiej roboty, odzywają się w innych gazetkach niechętnie o »Roli«. Wychodząc z zasady, że kłótnie i swary nie prowadzą do niczego dobrego, ludziom tym nie odpowiadamy wcale. Gdy głos taki pojawi się gdziekolwiek, sami nasi Czytelnicy widzą, jak on był niesłusznym i listami swemi starają się owo szarpanie wynagrodzić. Jeden z takich listów, napisany ładnym wierszem, przytaczamy poniżej:

Kiedy cierń smutku duszę ci porze
i w łańcuch cierpień skuta twa wola:
za promień słonka, kroplę balsamu
stanie ci »Rola«.

Jeśli tułaczem wyjdziesz z pod strzechy
i chleba szukać wyruszysz w świat,
Ona za tobą, jakby jaskółka,
poleci w ślad.

Jak herold boży z ojczystej niwy
wieści ci Ona przynosić będzie,
sianożęć wonie, borów poszumy,
prawdy orędzie.

Gdy w skołataną Ojczyzny nawę
bije dziś dziejów za gromem grom,
Ty »Rolo« krzepko stoisz na szańcu,
choć wrogi prą.

Kaganiec światła wznosisz wysoko
z hasłem: »Bóg, wiara, Ojczyzna, Lud!«
Fiat lux! powiadasz, wchodząc pod strzechy,
z dusz ścierasz brud!

Choć wrogów legion masz przeciw Sobie,
Ciebie nie splami śliny ich jad;
wytrwaj, a wstaniesz duchów królową,
jasnością chat!

Sioło Władysław.

Pierwsze fiołki tegorocznej wiosny już się pojawiły, jak nam czytelnicy donoszą, w okolicach Krakowa.

(J. G.) **Ciekawe zjawisko na niebie.** Dnia 21 marca, około godz. 9 rano, widać było koło Gorlic ciekawe zjawisko na niebie. Około słońca widać było wielkie koło podobne do tęczy. Po bokach tego koła widać było dwa słupy tej samej barwy co i koło. Zjawisko to trwało do godz. 1 popołudniu.

(W. N.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Przy budowie tartaku w Czudcu, zrzucali cieśle stary dach; Józef Teper chciał się usunąć przed spadającą krokwią i spadł na dół przez załamaną powałę a za nim siekiera, która ucięła mu dwa palce u prawej ręki.

(W. N.) **Przywalony ziemią.** Przy kopaniu kamieni na swój użytek, w Czudcu zawaliła się ziemia na robotników i przywaliła jednę nogę gospodarzowi, inni uszli cało.

Przykład serdecznej miłości. Jeden ze zwrotniczych, który był naocznym świadkiem katastrofy kolejowej w Trzebini, opowiada, że widział, jak jakaś dziewczyna z silnie poszarpanem ubraniem, cała zbroczona we krwi, jęczała z bólu, wykrzykując od czasu do czasu: »Stasiu, Stasiu, czy żyjesz!« Dosłyszał wołany jęki dziewczyny i oto czołga się ze zgruchotanemi nogami do miejsca, skąd dochodzą jęki dziewczyny, pada obok niej i obejmuje ją ramieniem. Stracili jednak oboje przytomność. Mówiono, że są to narzeczeni.

Ostrzeżenie przed wychodźtwem bez kontraktu. Z wyzyskiem i krzywdą spotykają się niejednokrotnie nasi robotnicy za granicą kraju, na obczyznie. Doświadczenie i prosty rozum uczą więc, że należy opuszczać kraj tylko wówczas, jeśli zapewniło się sobie odpowiednie warunki pracy za granicą. Stać się to może tylko przez zawarcie na piśmie kontraktu, podpisanego przez zagranicznego pracodawcę i to w pierwszym rzędzie w publicznem Biurze pośrednictwa pracy, a ostatecznie i w prywatnej ajencyi, pozostającej pod kontrolą naszych władz. Robotnik bez takiego kontraktu, przekraczający granicę, idzie na oślep, naraża się na poniewierkę i samowolę zagranicznych pracodawców i władz, zdany jest na ich łaskę i niełaskę, musi wyczekiwać tam nieraz tygodniami na miejsce, nie może już wybierać sobie miejsca i warunków pracy, lecz musi z konieczności przyjąć pierwsze lepsze miejsce z brzegu, jakie się tylko trafi, bez żadnego względu na swoje uprawnione życzenia i żądania. Dlatego jak najusilniej przestrzegamy naszych wychodźców: Nie opuszczajcie kraju bez pisemnego kontraktu w ręku!

Nieszczęśliwa miłość. W pewnej miejscowości węgierskiej uczyła w tej samej szkole młoda i piękna nauczycielka Aurora Kozena, w której uczył także młody i przystojny nauczyciel. W krótkim czasie wywiązała się miłość. On tęsknił do niej i wzdychał, pisał listy za listami, rozmawiał ustnie, zaklinając na wszystko, by chciała zostać jego żoną, ale spotykał się stale z odmowną odpowiedzią.



Nauczycielka owa miała serce zajęte kim innym. Zapalony jednak wielbiciel nie mógł się pogodzić z losem i pewnego dnia wszedł do klasy, w której ona uczyła, i położył na stole kartkę z zapytaniem, czy godzi się ostatecznie zostać jego żoną. — Widząc że ona przeczy, wyjął nagle rewolwer i celnym strzałem w skroń odebrał sobie życie. Wypadek ten wyobraża nasza rycina.

Z Włosienicy, w powiecie bialskim, piszą nam: W naszej wsi istnieje Kasa Raiffeisena, Kółko rolnicze, Straż pożarna, Kółko kobiet, Teatr i chór włościański, kapela. Wszystkie te stowarzyszenia rozwijają się pomyślnie i wzorowo. W przeciągu dwóch lat urządzono 21 przedstawień z bardzo dobrym rezultatem. Odbył się tu również kurs pożarniczy, poświęcenie sztandaru ochotniczej straży poż., obchód grunwaldzki i wiele innych wzniosłych uroczystości przy licznym współudziale uczestników. — Przeprowadzenie tych wszystkich uroczystości, jak i założenie tych stowarzyszeń zawdzięczamy gorliwej pracy naszego ukochanego ks. proboszcza Józefa Grudzińskiego. On jest nietylko gorliwym duszpasterzem, lecz troszczy się o wszystko, co się przyczynia do podniesienia dobra bliźnich. On to głównie przyczynił się do założenia w Monowicach spółki wodnej celem ulepszenia pastwiska gminnego, co dla tamtejszej ludności jest wielkiem dobrodziejstwem.

Zachęcał też gorliwie do solidarności przy wykupnie w Monowicach folwarku żydowskiego. Dzielni parafianie z Monowic poszli za jego radą w wielu okolicznościach i te zawsze odniosły pomyślne skutki. Jego staraniom zawdzięczamy śliczne urządzenie kościoła w Włosienicy, który jest najwspanialszym w okolicy. Parafianie Włosienicy, Monowic i drugiej części Dworów nie czekają ustawy konkurencyjnej, tylko w porozumieniu ze swym ukochanym proboszczem dobrowolnymi datkami wystawili wielki ołtarz, lśniący od złota, posadzkę i malowanie kościoła kosztem około 14.000 koron. Cześć Wam dzielni parafianie! Ale w tem wszystkiem jest wpływ i skuteczna praca ks. Józefa Grudzińskiego.

W roku 1911 minęło 25 lat kapłaństwa tego zacnego duszpasterza i gorliwego organizatora. — W końcu tego roku jubileuszowego otrzymał on wśród życzeń i szczerych a gorących słowa uznania z ust parafian w osobach A. Olka, M. Hoły, J. Szczęsniaka i K. Bartuli. Słowa te rozczulały serce jubilata, kochające szczerze swych parafian a przy śpiewie i wpośród licznie zgromadzonych parafian wręczono jubilatowi pamiątkowy zegar z napisem: »Najczcigodniejszemu duszpasterzowi i wielce zasłużonemu dobrodziejowi ks. Józefowi Grudzińskiemu, jako dowód szczerej wdzięczności ku uczczeniu 25-cio letniego jubileuszu święceń kapłańskich, składają w darze wdzięczni parafianie z Włosienicy, z Monowic i z II. części Dworów«.

Straszny wypadek. W Łętowicach pod Bogumiłowicami, w powiecie brzeskim, bawił się ośmioletni synek dzierżawcy tej wsi, p. Ueberalla, 6-milimetrowym flobertem (strzelbką), nie wiedząc, że jest nabity. W czasie tego zbliżył się do niego brat, uczeń VI klasy gimnazyum I. w Tarnowie, flobert wypalił i trafił brata w czoło, który wśród strasznych męczarni zmarł. Ojciec ś. p. zmarłego używał wszelkich środków dla uratowania życia ukochanemu synowi, gdy jednak lekarze stwierdzili zgon, wyjął sam nabity rewolwer i celnym strzałem w skroń pozbawił się z rozpaczy życia.

Waryat w zakładzie dla podrzutków. Na Zakład dla podrzutków »Dzieciątka Jezus« we Lwowie napadł umysłowo chory Józef Martynowicz. Dostawszy się przez parkan do ogrodu, wszedł do zabudowań, podarł habit jednej z zakonnic i począł wybijać szyby. Zbiegła się służba a wówczas szaleniec porwał jedno z niemowląt i chciał z niem uciec. Policyantowi, który usiłował go przytrzymać, zasypał oczy piaskiem, na drugiego rzucił się i zaczął go bić. Obłąkańca umieszczono tymczasem w areszcie.

(W. T.) **Podpalenie.** W Cichem, w powiecie nowotarskim, powodowany zemstą pewien gospodarz podpalił u swego sąsiada wiązkę słomy w stodole w celu zniszczenia całego gospodarstwa. Podczas tego gospodarz tego domu przyłapał podpalacza i palącą się słomę zagasił. Gdyby pożar powstał, byłby zniszczył pięć do sześciu gospodarstw, nie omijając i domu owego gospodarza. Powodem zemsty był spór sąsiedzki.

(W. T.) **Wilk na Podhalu.** W miejscowości Gubałówka koło Zakopanego, w dniu 13 marca, gdy zmrok zaczął zapadać, pewien gospodarz, idący ze strzelbą, zobaczył wilka i strzelił do niego, myśląc, że to pies wściekły. Pokazało się jednak, że to nie był pies, tylko wilk, bardzo rzadki gość na Podhalu.

(W. T.) **Maszyna do młócenia.** Nowa maszyna ręczna do młócenia zboża, którą sporządził Józef Gwóźdź, włościanin z Dzianisza, jest przeważnie drewniana, młóci dosyć dobrze i niewiele ustępuje fabrycznym maszynom.

Średniowieczny żart na 1 kwietnia. Zwyczaj zwodzenia się na 1 kwietnia sięga odległych wieków. Oto przykład, w jaki sposób w XV wieku książę Burgundyi, Filip Dobrotliwy, chciał swojego nadwornego błazna, Köllinga, podejść na »prima Aprilis« tj. 1 kwietnia. Wieczorem 31 marca zawołał książę do siebie Köllinga i oświadczył mu z całą powagą, że jeśli nazajutrz rano zdoła dowcipnie go zwieść, otrzyma pełną czapkę złota; jeśli nie, musi dać głowę pod miecz katowski. Tego wieczora dworacy księcia zaprosili błazna na wielką pijatykę i tak go spoili, że nieprzytomnego odprowadzili do jego pokoju. Nagle późno w noc żołnierze księcia wtargnęli do sypialni Köllinga i oznajmili mu, że przespał cały dzień 1 kwietnia, wobec czego z rozkazu księcia musi natychmiast iść na ścięcie. Zaprowadzili go na podwórze zamkowe, zawiązali oczy, skrępowali ręce i położyli na, czarnem suknem okrytej, ławce.



Na dany znak przez księcia padł srogi cios na skazańca. Lecz nie pochodził on od miecza, ale od potężnej kiełbasy, którą kat grzmotnął w kark błazna. Ten natychmiast stoczył się na bok, zesztywniał, zdawało się, że z przestrachu umarł. Widząc to książę, przybiegł do biedaka i zaczął lamentować, że przez niewczesny żart stracił ulubionego błazna. Na to mniemany nieboszczyk poruszył się i wyszeptał: »A czapka pełna złota moja? Czy tak, wasza książęca mość?« Książę chętnie przyrzeczenia dotrzymał, złota nie poskąpił, a błazen nieraz potem przypominał swemu panu, że mimo całego jego podstępu nie dał mu się jednak podejść na »prima Aprilis«. Obrazek nasz przedstawia tę zabawną egzekucyę, gdy kat zamierza się, by skazańcowi zadać cios śmiertelny — kiełbasą!

(J. K.) **Nieszczęśliwy wypadek** zdarzył się dnia 14 marca na kolei koszycko-bogumińskiej w Mostach przy Jabłonkowie, na Śląsku austr. Przejeżdżał właśnie pociąg towarowy po jednym torze a na drugim pracowali murarze przy naprawie małego mostku, gdy wtem niespodziewanie nadjechał z drugiej strony pociąg osobowy i jeden z nich, nazwiskiem Jan Kufa, który nie zdołał na czas ujść, uległ nieszczęściu. Lokomotywa odrzuciła go w bok i strasznie pokaleczony w tejże chwili wyzionął ducha. Zostawił po sobie niezaopatrzoną wdowę i sześcioro drobnych dzieci. Tak to człowiek nie wie dnia ani godziny, kiedy go Pan Bóg powoła.

Śmiertelny upadek dziecka. Na czwartem piętrze jednej z kamienic w Pradze, zajmuje skromne mieszkanie woźny bankowy, Gabriel, z żoną i czteroletnim synkiem Józefem, który właśnie, chory na febrę, nie opuszczał od kilku dni łóżka. Rano wyszedł ojciec, jak zwykle, do zajęcia, w domu zaś pozostał Józio na opiece matki, krzątającej się koło obiadu. Przed południem brakło matce jakiejś drobnej przyprawy do potraw. Przykazawszy dziecku leżeć spokojnie w łóżeczku, zamknęła drzwi na klucz

- i zbiegła na dół do sklepiku. Tymczasem wybiła godzina dwunasta w południe, o której zwykle ojciec przychodził do domu. Dziecko, znudzone kilkodniowem leżeniem w łóżku, korzystając z braku dozoru, powstało i podeszło do okna, chcąc widzieć nadchodzącego ojca. Pod ciężarem ciała otwarło się nagle niedokładnie zamknięte okno, a biedny chłopak, straciwszy równowagę, runął w dół z czwartego piętra, rozbijając się strasznie o bruk uliczny.

„Cudowny lekarz“. Policya odkryła w Hucie Królowej, na Śląsku pruskim, wielką pracownię cudownego lekarza i wróżbity, nazwiskiem Michał Burfy, który od trzech lat wyzyskiwał naiwną ludność. Burfy urządził w swojem mieszkaniu rodzaj kaplicy, gdzie wróżył o wszelakich rzeczach, o losie osób zmarłych i żywych, o odkryciu rzeczy skradzionych, i znalezieniu zgubionych itd Obok tego leczył także cudownie. W ten sposób zarabiał rocznie około 30.000 marek, wyraźnie trzydzieści tysięcy!! W ręce władz dostał się dzięki swojemu bezwzględnemu zdzierstwu. Pewnej kobiecie opowiedział, że mąż jej, zmarły przed kilku laty, znajduje się w jakiemś wielkiem morzu i jeszcze nie poszedł do czyśca. Gdyby żona dała Burfyemu na »msze« 250 marek, to mąż dostałby się odrazu do nieba. Kobiecina ofiarowała cały swój majątek w sumie 10 marek, które pożyczyła, ale Burfy był ni ubłagany i żądał 250 marek. Zrozpaczona kobieta doniosła o tem policyi, która udała się natychmiast do znachora. Mimo rannej pory było tam już kilkadziesiąt osób na poradzie. Część uciekła, ale nazwiska 37 osób zapisała policya, poczem znachora zabrała do aresztu.

Wesoły proces. W Berlinie toczył się dłuższy proces przeciw kilku karciarzom, oskarżonym o oszukiwanie przy grze. Z oskarżonych zdołano posadzić przed kratkami zaledwie dwóch: Hermana Bujesa i hr. Wolff Metternicha. W toku rozpraw chodziło o to, czy przy pewnej grze w karty można oszukiwać. Prokurator twierdził, że tak, oskarżeni przeczyli. Wobec tego jeden z obrońców zaproponował, aby oskarżeni przegrali kilka partyi ze sobą dla próby. Hr. Metternich nie chciał o tem słyszeć, zastąpił go tedy przewodniczący sądu i natychmiast zasiadł do gry z Bujesem. Świadkowie, trybunał, dziennikarze i rzeczoznawcy otoczyli zwartem kołem grających, którzy z całym spokojem rozgrywali swoją partyę. Po godzinie pokazało się, że prezydent trybunału, który zanadto się rozpalał, przegrał 1800 marek, naturalnie tylko w znaczkach. — Berlińskie pisma pokpiwały sobie długi czas z tego osobliwego procesu, przy którym prezydent sądu grał w karty z obwinionym i przegrał!

Świętokradztwo z Jasnej Góry. Władze sądowe w Piotrkowie, gdzie odbywał się proces Macocha, otrzymały niezwykły dokument w sprawie pamiętnego świętokradztwa, dokonanego na cudownym obrazie N. M. P. na Jasnej Górze w r. 1909. Oto Stanisław Załóg, współoskarżony w sprawie o zamordowanie Wacława Macocha przez Damazego Macocha, nadesłał list, datowany z Chicago w Ameryce dnia 1 marca b. r., w którym pisze: »Z powodu posądzenia b. paulina z Jasnej Góry, Damazego Macocha, również o udział w okradzeniu cudownego obrazu Matki Boskiej, donoszę, że tylko ja sam i nikt więcej, zabrałem kosztowności z obrazu na Jasnej Górze. Proszę więc ani Damazego Macocha, ani nikogo innego o obrabowanie obrazu nie podejrzywać. Ażeby nie szukano mnie niepotrzebnie, donoszę jednocześnie, że miasto, z którego list ten wysyłam, opuszczam zaraz, nie pozostawiając żadnego śladu po sobie«. List pisany jest własnoręcznie przez Załoga. Sprawił on wielkie wrażenie, gdy się zwłaszcza przypomni, że Załóg po spełnionem świętokradztwie pozostawał sobie najspokojniej, przez nikogo nietknięty, w klasztorze na Jasnej Górze przeszło rok jeszcze, aż do wykrycia zbrodni Damazego Macocha i jego współwinnych, a później dopiero umknął zacierając ślady za sobą tak zręcznie, że władze rosyjskie ani zagraniczne ująć go nie zdołały.

Wychodźtwo na Syberyę. Rząd rosyjski zajmuje się obecnie kolonizacyą Syberyi. Ażeby zachęcić ludność Rosyi europejskiej do osiedlania się na Syberyi, poczyniono duże ułatwienia na rzecz kolonistów. Ruch wychodźczy na Syberyę, jak się okazuje, ogarnął i Królestwo Polskie. Według sprawozdania głównego zarządu rolnictwa i dóbr państwa w roku zeszłym z guberni lubelskiej udało się na Syberyę 146 osób, z siedleckiej 1 8 osób i z piotrkowskiej 320 osób. Powróciło zaś do guberni lubelskiej 124 osób.

Wojenny taniec murzyński. U dzikich plemion afrykańskich taniec odgrywa ważną rolę nietylko podczas uroczystości religijnych. Odrębny rodzaj tańca stanowi taniec wojenny.



Na naszym obrazku widzimy owładniętego już zupełnie szałem tanecznym czarnego wojownika, przystrojonego w krótką spodniczkę, i w olbrzymim, niesłychanych rozmiarów kapeluszu. Przy dźwiękach specyalnego instrumentu muzycznego rozpoczyna wojownik przed wyruszeniem do walki swój szalony taniec i tańczy tak długo, póki omdlały nie padnie za ziemię. Taniec taki męczy chwilowo, ale na później wyrabia siły i zręczność w całem ciele i hartuje je na trudy i niewygody wojenne. Dlatego taki taniec bywa wśród dzikich plemion rozpowszechniony.

Tureccy jeńcy we Włoszech. Pobyt jeńców tureckich na wyspach włoskich Ustika i Favignana jest bardzo smutny. Strawa udzielana im przez rząd włoski nie jest ani obfitą, ani smakowitą; składa się tylko z zupy. Jeńcom to wystarcza, nie skarżą się, nie dokupują pożywienia. W chwili obecnej jest ogółem 170 jeńców, lecz ma niebawem przybyć nowy transport, złożony z dwustu. Mieszkają w 6 kamiennych domach, pokrytych słomą, a są tak potulni, iż dozorcy zaniechali noszenia broni. Jeńcy spełniają wszelkie narzucone im posługi: dźwigają wodę, zamiatają ulice i t. p Są to przeważnie ludzie młodzi, od lat 15 do 30, jest wśród nich paru tylko starych, nie nadających się do żadnej roboty.

Smutny koniec pijatyki. Podczas wyładowywania w porcie francuskim, Lorient, parowca, który przywiózł z Algieru, w Afryce, ładunek wina w beczkach, robotnicy portowi, znalazłszy rozbitą beczkę, tak uraczyli się winem w czasie godziny obiadowej, że przyszło pomiędzy nimi do kłótni, a następnie do bójki na pokładzie okrętu, przyczem kilku wpadło do wody, a dwóch ciężko rannych odwieziono do szpitala. Po kilku godzinach poszukiwania wydobyto z wody zwłoki jednego utopionego.

Czterech nie powróciło wieczorem wcale do domów, istnieje przypuszczenie, że i oni zginęli.

Krwawy zabobon. W Barcelonie, w Hiszpanii, aresztowano 50 letnią Henrykę Martini, która, według zebranych dowodów, mordowała niemowlęta, odpuszczając im krew, aby z niej przyrządzić napój miłosny. W wielu wypadkach oddawały jej namówione przez nią same matki drobniutkie dzieci, wierząc w niezawodny skutek sporządzonego z krwi ich napoju.

„Raj kawalerów“. W Londynie tworzy się instytucya pod nazwą »Raj kawalerów«, której zadaniem uprościć i umilić życie zatwardziałym, nie chcącym wstąpić w związki małżeńskie kawalerom, nauczyć ich wszystkiego, co potrzebne w życiu domowem, a więc: gotowania, sprzątania, sporządzania bielizny, cerowania pończoch. W te zajęcia będą ich wdrażały nauczycielki. Kobiety angielskie podobno pokpiwają sobie z tego »raju kawalerów«, nie wierząc, aby kawaler, który nauczy się cerować pończochy, już dlatego nigdy się nie miał ożenić.

Mowa agitacyjna w lwiej klatce. Od lat już czyta się w gazetach, że w Anglii pewna część kobiet bardzo zapalczywie walczy o zdobycie praw politycznych. Kobiety te, zwane »sufrażystkami«, wpadają do parlamentu, rzucają się na ulicach na ministrów, urządzają pochody z chorągwiami i t. p., a wszystko dlatego, by wymódz powszechne głosowanie. W agitacyi tej dochodzą często do śmieszności. Oto w pewnem mieście angielskiem taka sufrażystka, nazwiskiem Lloyd, wygłosiła mowę, stojąc w klatce z lwami. Chciała w ten sposób okazać, że sufrażystki mają lwią odwagę. Co prawda, pogromca zwierząt i dozorca stali obok lwów z widłami żelaznemi i rewolwerami w rękach. Lwy rykiem przerywały mowę pani Lloyd, aż wreszcie wystraszona uciekła z klatki.

Za żołnierza para rękawiczek. Do uzupełnienia pułku, znajdującego się w mieście angielskiem Kingston zabrakło 133 szeregowców. Nie zgłaszali się wcale ochotnicy. Nagle pewnemu oficerowi przyszło na myśl spożytkować siłę kobiecej piękności. Zwrócił się do najładniejszych panien w tem mieście i wezwał je do werbowania ochotników, obiecując za każdego żołnierza parę rękawiczek. Nazajutrz sto przystojnych werbowniczek zabrało się do roboty, a pod koniec tygodnia zastępy pułku wypełniły się, a nawet musiano, dla braku miejsca, odprawić kilkunastu ochotników. I tak werbowniczki otrzymały 133 par rękawiczek a pułk zyskał 133 żołnierzy.

Kieszenie bezpieczeństwa. Z Londynu donoszą, że jeden z tamtejszych krawców sporządził kieszeń, mającą służyć za ochronę przeciwko złodziejom kieszonkowym. Wnętrze tej kieszeni składa się ze skórzanej podszewki, zaopatrzonej haczykami, zwieszającymi się w dół końcami. Ręka włożona do takiej kieszeni nie wyczuwa zupełnie tych haczyków. W chwili jednak, gdy się chce rękę wyjąć, haczyki, podnosząc się w górę, wbijają się w ciało i uniemożliwiają wydobycie ręki. W ten więc sposób kieszeń taka jest istotnie pułapką na kieszonkowców. Właściciel takiej kieszeni natomiast może dowolnie wkładać i wyjmować z niej ręce, gdyż zna tajemnicę wynalazku, która mu dozwala, za pociśnięciem sprężyny, usunąć działalność haczyków.

Walka z bykiem na dachu. Niezwykłe widowisko mieli mieszkańcy w Irlington, przedmieściu Londynu. Z dworca kolejowego pędzono na targ kilka byków. Jeden z nich uciekł, pobiegł do pobliskiego domu, następnie schodami na dach, który zazwyczaj służy do suszenia bielizny lub jako miejsce zabawy dla dzieci. Pięciu rzeźników, a z nimi niezmierne tłumy pobiegły na dach, na którym rozpoczęła się teraz szalona gonitwa za przestraszonym zwierzem, który przewracał kominy, padał, znów się podnosił, ryczał, aż wreszcie dostał się na sam brzeg dachu. Tu stanął jak wryty; spojrzał na dół, ujrzał targowisko i ogromne tłumy widzów, którzy widowisku temu z dołu się przyglądali. Ludzie na dachu chcieli go skrępować powrozami i byk popadł w taką wściekłość, że zawrócił i rozpoczął szaloną gonitwę za swymi prześladowcami. Wszystko z dachu pouciekało i nie było innej rady, jak tylko celnymi strzałami zastrzelić rozjuszone zwierzę.

Niebezpieczny zawód. W londyńskim ogrodzie, gdzie znajdują się dzikie zwierzęta, zmarła ich pogromczyni i potrzeba było nowej, któraby ją zastąpiła. Aby umieć obchodzić się z dzikiemi zwierzętami, potrzeba odwagi, pewności siebie, przytomności umysłu, a o te przymioty nie tak łatwo u kobiet.



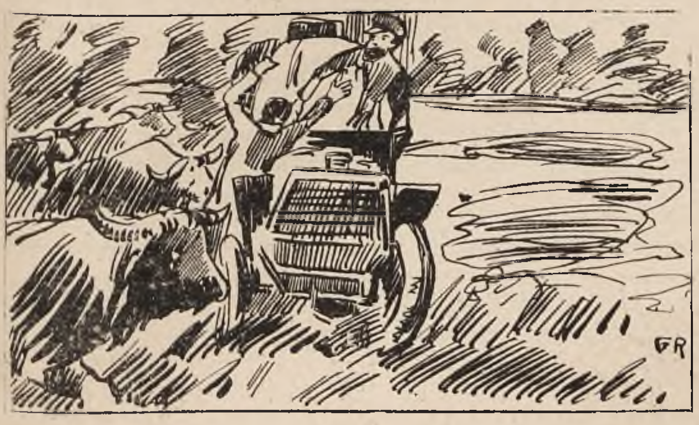
Niebezpieczny zawód wszakże nie odstraszał Angielek, których kilkanaście zgłosiło się, jako kandydatki o tę posadę. Obrazek nasz przedstawia próbę, jaką kandydatka odbywa: pogromca uchyla część drzwi od klatki, z których tygrysica wystawia łeb. Przyszła pogromczyni jednak zasłania sobie ze strachu rękami oczy na widok paszczy zwierza. Taka z pewnością nie będzie mieć odwagi poświęcić się tak niebezpiecznemu zawodowi.

Najmniejsza kobieta na świecie. W Londynie pokazuje się za pieniądze wesoła, maleńka osóbka, Angielka, nazwiskiem Little, licząca ośmnaście lat wieku, która, jak dzienniki angielskie donoszą, ma 23 angielskie cale, czyli około 58 centymetrów wysokości. Waży zaś pani ta tylko nieco więcej jak cztery kilogramy. Przy swym maleńkim wymiarze jest zupełnie zdrową i posiada wykończoną figurę. Posiada ona ośmioro rodzeństwa i to braci i siostry. Wszyscy jednak są zwykłego wzrostu, jak ich rodzice. Ale mniejszą od niej jest jakaś panna Anita, Szwajcarka, która niedawno temu w Anglii pokazywała się również za pieniądze. Panna Anita liczy 21 lat i podobno jest jeszcze o dwa cale niższa aniżeli Little i wzrost jej wynosiłby wtedy tylko 53 centymetry, czyli jest tak wielką, jak zdrowe nowonarodzone dziecko. Oto najmniejsza dorosła osoba na świecie.

Niezwykły wypadek głuchoniemej. Głucha i niema od 16 lat Marya Lipschips przybyła z Rosyi do Nowego Jorku, lecz władze amerykańskie oświadczyły, że kalek tego rodzaju do Stanów Zjednoczonych nie wpuszczają i przez migi dali jej to do zrozumienia, każąc jej zabierać się z powrotem do miejsca rodzinnego. Dziewczynę chwyciła rozpacz. Rzuciwszy się z rozpaczy na podłogę, poczęła płakać, a wkońcu zemdlała. Gdy ją przyprowadzono do przytomności, dziewczyna zaczęła wymawiać słowa bez związku, a wkońcu zupełnie odzyskała mowę a słuch częściowo. Władze wychodźcze amerykańskie tele-

grafowały do ministerstwa handlu i pracy w Waszyngtonie o tym niezwykłym wypadku, a stamtąd nadeszła odpowiedź, że dziewczyna może być wpuszczona do Ameryki.

Szczególna przygoda uczonych. Nie jest rzeczą bezpieczną zapuszczać się w głąb Afryki. — Smutna przygoda spotkała francuską wyprawę naukową, która przedsięwzięła podróż samochodami przez wnętrze Afryki.



W okręgu Kongo, gdy samochód z powodu złej drogi z trudem tylko mógł się poruszać, napadła śmiałych podróżników gromada dzikich bawołów. Jeden inżynier, nadziany na rogi, zginął na miejscu. Reszcie udało się z trudem ucieczką uratować życie.

Dziesięcioro przykazań dla mężów. Jakaś energiczna kobieta, dbająca wielce, by mężowie dobrze się sprawowali, ułożyła następujące dziesięć przykazań dla mężów, które pisma wydrukowały. Oto one: Jestem tą, która ci przysięgła wiarę, miłość i posłuszeństwo małżeńskie.

1) Nie będziesz miał innych żon prócz mnie.

2) Nie używaj paszportu żony twej dla innych kobiet.

3) Pamiętaj, abyś dzień świąteczny przepędził w kościele i tylko w domu, a jeżeli chcesz gdzie pójść, to tylko z żoną.

4) Czcij teścia i teściowę swoją.

5) Nie podnoś nigdy ręki na żonę twoją.

6) Nie przeniewierzaj się jej.

7) Nie okradaj siebie na zdrowiu a żonę i dzieci materyalnie przez picie wódki, palenie papierosów i granie w karty na pieniądze.

8) Nie obmawiaj żony twej, a szczególniej przy dzieciach i służbie swojej.

9) Nie pożądaj mieć znajomości z innemi niewiastami, gdyż ja jestem bardzo zazdrosną.

10) Ani siostry mojej, ani szwagierki, ani sąsiadki, ani kumy, ani żadnej białogłowy nie wolno tobie kochać, bo żonatym jesteś człowiekiem.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Górnik).

2	5	4	3	2	1	Wstecz utwór Słowackiego.
6	2	3	7	8	9	Imię męskie.
2	10	11	3	7	11	Pisarz polski.
12	13	14	15	4	16	Nazwa dnia.
6	2	15	2	16	9	Mieszkanie z drzewa.
3	17	2	10	9	4	Napisana myśl.
8	4	6	14	15	12	Wstecz nazwa ptaka.
15	18	19	9	10	9	Naród.
3	19	10	7	3	11	Wstecz podatek.
2	3	2	15	2	3	Wstecz choroba.

Cyfry zastąpić w ten sposób literami, by ostatni rząd pionowy dał nazwisko poety polskiego, drugi zaś tytuł dzieła.

2. ZAGADKA.

(Ułożyła Antonina Barnasiówna).

Z pięciu liter się składam,
Kłopot z nimi miał Adam,
Nie wiedząc, co się stało,
Aż się potem wydało.
Z tychże liter znów bierze
Nazwę swą pewne zwierzę
Egzotyczne. A w końcu
Bielejemy na słońcu.

3. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Albert Kempny).

A, a, b, c, e, e, e, e, i, i, i, i, j, k, k, l, o, o, p, p, s, s, s, s, s, s, s, t, w, y, z, z.

Z powyższych zgłosek ułożyć znane przysłowie polskie.

4. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył »Górnik«).

Wit Kospiano

Ułożyć nazwisko wodza polskiego.

5. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył »Górnik«).

Erazm Naczolski

Ułożyć nazwę towarzystwa polskiego.

6. SZARADA.

(Ułożył Jedrzej Czarnik).

Pierwsze czwarte miastem słynie,
Z cudów znane w Palestynie
Drugie wstecz, pierwsze wprost na polu praca,
Jak dobrze wykonasz, to cię wzbogaca.
Trzecia czwarta powiada Jurek,
Że to będzie długi sznurek.
Całość niewiasty będzie to imię!
Jabym powiedział, lecz nie uczynię.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli.* Termin do 6 kwietnia 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 11 »Roli« 1. Zagadka: **Śnieg.** 2. Kwadrat magiczny: **Zaraz.** 3. Przeplatanka: **Młode serca— żyzne role siej w nich ziarna nie kąkole.** 4. Szarada: **Stokłosa.** 8. Przeplatanka: **Życie to radość, życie to śmierć! Kto nie chce słuchać niech wlezie w ćwierć.** 6. Szarada: **Tulipany.** 7. Szarada: **Kanapa.** 8. Szarada: **Kelner.**

Otrzymaliśmy następujace dobre rozwiazanie wszystkich zagadek:

Budzić się zaczyna wiosna,
Zaraz śnieg na polach staje,
Wnet się zazieleni sosna,
Wnet się zazielenią gaje!
Przeplatanka Potocznego
Uczy nas wiele dobrego:
Serca młode — żyzne role,
Siej w nich ziarna nie kąkole!
Gdy dużo w zbożu stokłosy,
To się gospodarze smucą,
Spuszczają na kwintę nosy
I tak sobie tylko nucą:
Życie to radość — życie to śmierć,
Kto nie chce wierzyć — niech wlezie w ćwierć!
Tulipany — śliczne kwiatki,
Ja jednak wolę bławatki.
Na kanapie goście siedzą
I co kelner da — to jedzą.

Kazimierz Rogucki.

Oprócz tego **dobre** rozwiązanie **wszystkich** zagadek nadesłali PP.: Zofia Wysocka z P., Ks. Jan Kanty Grabowski z K., Zofia Pawłowska z Z., Antoni Żelazny z R., Adela Bezokówna z K. M., Józef Kapuściński z L., Franciszek Teper z K. M., Koło Macierzy szkol. w S., Wa'enty Miśniak z P., Fr. Szajter z O., Piotr Bochnia z T., Arkadyusz Szarek z S. W., Tomasz Dziewit z M.

Inni nadesłali rozwiązania tylko niektórych zagadek i tych nazwisk nie podajemy.

Pierwszą nagrodę p. t. ***W Tunisie i na Malcie*** wylosował **Ks. Jan Kanty Grabowski** z K., zaś drugą p. t. ***Z chłopskiej niwy*** **p. Antoni Żelazny** z R.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Anna Hallerówna w J.: Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Pod wskazanym adresem numera od poczatku roku wysłaliśmy — Mikołaj Skierleński w P.: Kalendarza Pan nie otrzymał, gdyż nie nadesłał Pan na niego 50 halerzy.— Michał Łeszczuk w S.: Po cenniki najlepiej się zwracać wprost do handlów. Nie mogliśmy Panu cennika wysłać, gdyż nie było napisane jakich narzedzi potrzeba. — »Er-el«: »Wiosna« zbyt... grecka, aby mogła być w »Roli« drukowana. Na liście do Redakcyi trzeba się koniecznie całem nazwiskiem podpisywać. — Józef Jarmuła w Z: Dziękujemy — Stefania Szybowiczówna w K.: Pan Rydz już nam zostawił. Z artykułu skorzystamy. — Mateusz Zięba w O. B.: Z nadesłanych rzeczy skorzystamy. — Władysław Sioło w K.: Za miłe słowa i ładny wierszyk dziekujemy serdecznie. — Jedrzej Czarnik w Rz.: Otrzymaliśmy. — Józef Fornol w O.: Szarady bez rozwiazania nie maja dla nas znaczenia. — Jan Płodzień w Ch: Tak nam skadś wierszyki znane. — Michał Płezia w T.: Nadesłana rzecz jest wiecej reklama kupiecka a nie artykułem, zaś za umieszczenie reklamy trzeba płacić. Ogłoszenie takie, oczywiście płatne moglibyśmy umieścić za poprzedniem porozumieniem się. — Tomasz Dziewit w M.: Zagadki dobre, ale pisane po obydwu stronach papieru, więc kilka z nich przepadnie. — Józef Jarmuła w Z.: Dziękujemy. »Kłusownik« pójdzie prawdopodobnie do Kalendarza. — Franciszek Krzanowski w J. p.: Legendę o słowiku umieścimy.— Franciszek Bochnia w T.: Owszem prosimy. Zagadki będa. Kazdy prenumeratur, który dobrze wszystkie zagadki rozwiaże, bierze udział w losowaniu. — Wincenty Cechowy w P. i Walenty Miśniak w P.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Franciszek Siekaniec w D.: Tak jest! »Matka Boleściwa«, dosłownie, jak było w »Roli«. — Wawrzyk w P.: Gazetkę, o która Pani pyta, wydaje spółka żydowska, a tylko podpisuje ja katolik. — Teofil Tryczyński w N.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Jan Lech w K. Zagadki dobre, więc je umieścimy. Na przyszłość prosimy pisać po jednej stronie papieru. — Władek z Łegu: Czy nadesłane utwory zupełnie sam Pan układał, czy skadś przepisał? — Władysław Wołowiec w S.: Za życzliwe słowa dzięki. — Władysław Kwolek w R.: Otrzymaliśmy. dziękujemy. — J. Majcher w T.: Nadesłany wierszyk dobry. Ludwik Ciołczyk w W.: Zagadki dobre. — Józef Kapuściński w L.: Wszystko jest w tekach zachowane do druku. — Kornel Kolkowski w A.: Nie możemy odgadnać o jaka firmę chodzi. — Jan Bieniek w P i Wł. Brozyna w S.: Zagadki beda.

Potwierdzenia prenumeraty.

Całoroczna prenumeratę nadesłali PP.:

Ks. Kazimierz Wiśniewski z R. 4 K. — Antoni Nowak z B. 4.50 K. — Andrzej Podgórski z D. 4 K. — Franciszek Pukas z S. 4.50 K. — Stefan Leśnik z Z. 4 K. — Kasper Kurowski z R. 4 K.

Teofila Forysiówna z H. 1 dol. — Gabryel Konesz z R. 2 K. Stanisław Czerniec z P. 2 K. — Józef Adamczak z G. 3 K. — Andrzej Boroń z R. 1 K. — Andrzej Tora z D. 1 K. — Stanisław Dall z P. 1 K. — Stanisław Matoga z Z. 3 K. — Karol Szpak z S., 3 K. — Józef Łoboda z M. 1 K. — Józef Bieszkiewicz z T. 1 K. — Władysław Krawiec z S. 1 K. — Jan Pluta z C. 2 K. — Józef Kołatek z S. 2 K. — Władysław Nowak z B. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 26 marca:

Pszenica	Kor.	11.20	do	11.50	za 50 kg.
Żyto	„	9.45	„	10.20	„
Jęczmień	„	10.10	„	10.50	„
Owies		10.25	„	10.75	„
Otręby pszenne		7.60		7.70	„
Otręby żytnie		7.60		7.70	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 26 marca:

Buhaje	Kor.	100	do	300	za sztukę
Woły	„	250	„	400	„
Krowy		110	„	300	„
Jałówki		110	„	180	„
Cielęta	„	24	„	60	„
Owce i kozy		—		—	
Świnie bita waga		140	„	156	za 50 kg

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.